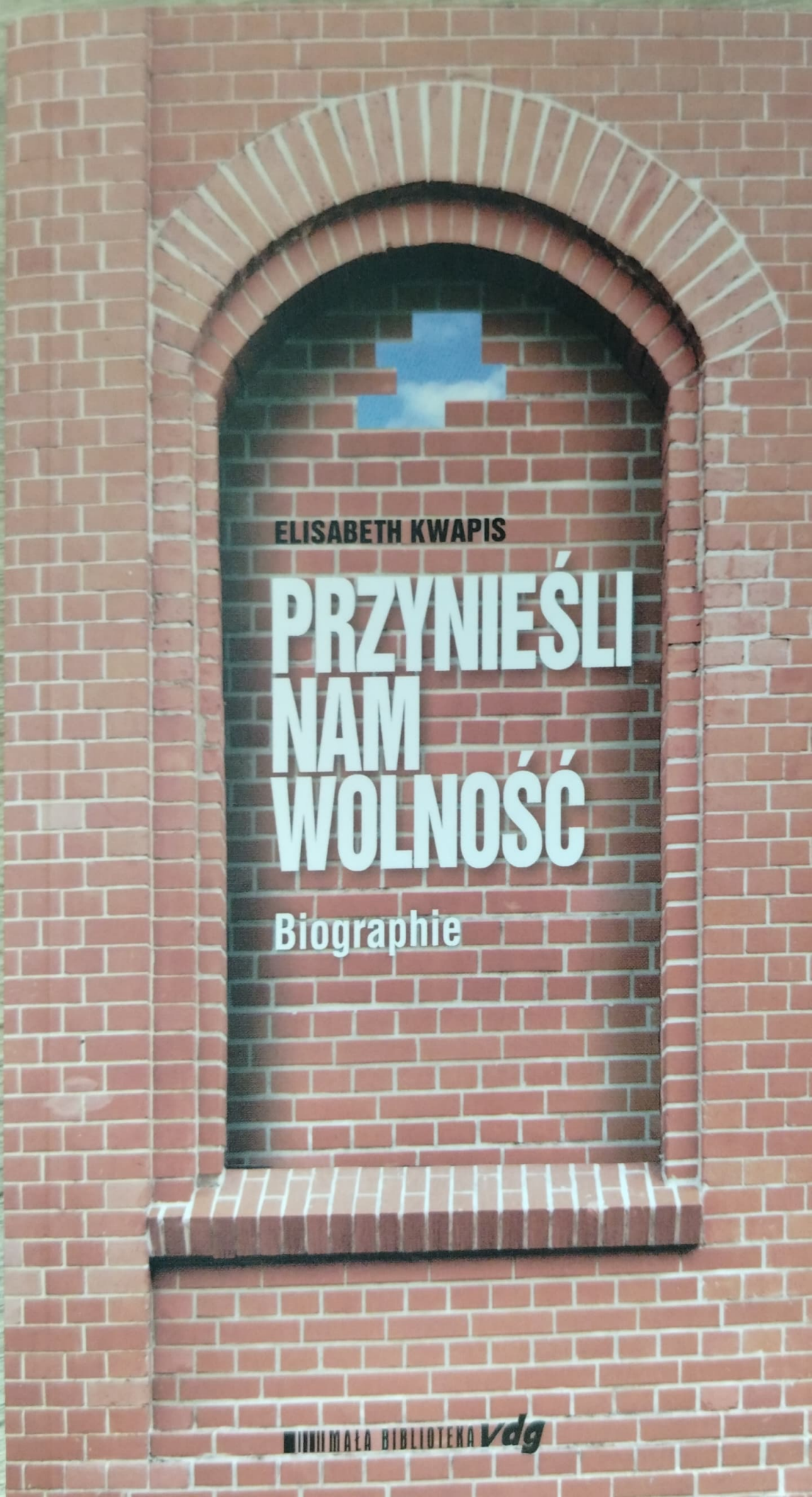




ELISABETH KWAPIS

PRZYNIEŚLI NAM WOLNOŚĆ

Biographie



ELISABETH KWAPIS

PRZYNIEŚLI NAM WOLNOŚĆ

Biografia

Elisabeth Kwapis
„Przynieśli nam wolność”

„Sie brachten uns die Freiheit: Biographie“
Die erste Auflage erschien 1996 durch den Scheffler-Verlag
Alle Rechte seit Februar 2001 bei J. Kwapis

Wydawca

Związek Niemieckich Stowarzyszeń Społeczno-Kulturalnych w Polsce
ul. J. Słowackiego 10, 15, 45-013 Opole
tel.: 77 454 78 78
www.vdg.pl

Druk publikacji zrealizowany dzięki wsparciu finansowemu
Konsulatu Republiki Federalnej Niemiec w Opolu

Redakcja i korekta

Magdalena Pache (wersja polska)

Tłumaczenie z języka niemieckiego

Waldemar Gielzok

Opracowanie graficzne, skład i druk

ART-GRAPH Jerzy Grycz

Copyright

Związek Niemieckich Stowarzyszeń Społeczno-Kulturalnych
w Polsce, Opole 2021

ISBN 978-83-957647-9-0

Spis treści

Nota od tłumacza	4
Część I	
Wyzwolenie	7
Część II	
Sosnowiec – kopalnia „Renard” – cywile	119
Część III	
„Renard” – jeńcy wojenni	187
Część IV	
Obóz pod kwarantanną	298
Epilog	379
Nota biograficzna	381

Nota od tłumacza

Czytelnik otrzymuje do ręki książkę, która jest pod wieloma względami wyjątkowa i jakiej nie ma na polskim rynku wydawniczym. Wypełnia ona wielką białą plamę. Polskiemu czytelnikowi winny jestem kilka słów wyjaśnienia, które pozwolą na właściwe odczytanie dziś już niedostrzeganych wątków, ukrytych cytatów i aluzji poczynionych przez autorkę w tekście.

Wersja niemiecka książki Elisabeth Kwapis ukazała się drukiem w 1996 roku w wydawnictwie Scheffler-Verlag z Herdecke w Niemczech, szybko nabrała rozgłosu w środowisku byłych mieszkańców Górnego Śląska, ponieważ była to pierwsza pozycja wydawnicza, która traktowała o wydarzeniach znanych tylko z potajemnych przekazów międzypokoleniowych. W oficjalnym obiegu zaś brakowało jakichkolwiek odniesień do przedstawianych tam wydarzeń. W prospekcie do pierwszego wydania można przeczytać: „Opowiada współczesnym językiem o dawnym bezprawiu i wyrządzonych krzywdach. Wszystkie fakty historyczne, które zbiera z całą konsekwencją, układają się w czytelny obraz”. Czytelnicy w Polsce czekali wiele lat, aby poznać ten obraz. W 1999 roku w wydaniu lublinieckim „Dziennika Zachodniego” (z 19 listopada) ukazało się omówienie tejże książki i zapowiedź, że zostanie ona przetłumaczona.

Losy ludności Górnego Śląska przyznającej się do swojej niemieckości i zbrodnie popełniane na tej ludności wciąż pozostają znane jedynie wąskiej grupie zainteresowanych, na co miała wpływ cenzura z czasów PRL, a także późniejsze trudności w rozliczaniu

przeszłości – część odbiorców błędnie odbierała opis cierpień ludności niemieckiej w czasach komunizmu jako próbę pomniejszania zbrodni narodowosocjalistycznych. Temat ten wciąż rodzi niepotrzebne emocje. Z tych powodów brakuje literatury obozowej, która przedstawiałaby świadectwa osób poczuwających się do niemieckości. Nie mieliśmy dotąd okazji zobaczyć ich oczami życia tych osób w więzieniach i obozach pracy przymusowej w powojennej Polsce tworzonych przez komunistyczny aparat przymusu. Podobnie nieznane były doświadczenia ludności optującej za Niemcami na wschodnich terenach Górnego Śląska włączonych w 1922 roku do państwa polskiego.

Opisane przez Elisabeth Kwapis wydarzenia są prawdziwe, a miejsca, osoby istniały lub wciąż istnieją, stąd też autorka unika podawania nazwisk lub operuje skrótami, aby chronić żyjących jeszcze świadków. O ile czytelnik żyjący przed wojną na terenie dawnego powiatu lublinieckiego, który w 1922 roku został podzielony i którego dawne ziemie znalazły się w dwóch różnych państwach, rozpozna miejsca, wydarzenia i kontekst, o tyle dzisiejszy czytelnik potrzebuje stosownych komentarzy. Z tego właśnie powodu zdecydowałem się bardziej zawile dla dzisiejszego pokolenia fragmenty opisanych wydarzeń opatrzyć szerszym kontekstem. Mając dziś do dyspozycji bogatą literaturę naukową, mogłem sobie pozwolić w kilku miejscach na uzupełnienie wiedzy czytelnika o wiadomości historyczne, które pokazują, że autobiografię Elisabeth Kwapis należy traktować jako świadectwo, które wytrzymuje i próbę czasu, i próbę dokumentów zachowanych w archiwach.

Aby wprowadzić czytelnika w świat myśli autorki, konsekwentnie stosowałem nazwy topograficzne przez nią używane, co samo w sobie uwydatnia, że mowa o świecie, którego już nie ma. W każdym takim miejscu podawałem w przypisie polski odpowiednik niemieckiej nazwy.

Podobną strategię przyjąłem w odniesieniu do zapisu imion. Zachowanie oryginalnej pisowni imion służyło temu samemu celowi. Ma to o tyle duże znaczenie, że imiona i nazwiska mieszkańców Górnego Śląska, które w przekonaniu nowych władz brzmiały zbyt niemiecko, były przymusowo zmieniane, a ludzie często funkcjonowali pod dwoma imionami. W rozmowach zwracano się do siebie w „języku serca”, a „nowe władze” zwracały się do ludzi imionami spolonizowanymi. Brzmienie imienia stawało się symbolem wyma-

zywanej tożsamości i pochodzenia, a zmiana imienia formą przemocy symbolicznej i polonizacji. W tłumaczeniu oddałem to w następujący sposób: jeżeli ktoś zwracał się do osoby jako przedstawiciel nowych władz, to zakładałem, że stosował polskie brzmienie jej imienia. Samo zjawisko ingerowania w formę imion mieszkańców zajmowanych przez inne państwo terenów nie jest nowe. Polscy czytelnicy, którzy nie mają śląskich korzeni, znają z przekazów rodzinnych problem rusyfikacji imion i nazwisk w zaborze rosyjskim. Podobnie zachowują się dziś nowe władze samozwańczych republik na wschodzie Ukrainy – od 2014 roku rusyfikują ukraińskie nazwiska i imiona.

Pragnę bardzo podziękować Pani Magdalenie Pache za bardzo cenne uwagi i sugestie językowe, które miały wpływ na wybór rozwiązań redakcyjnych, treść komentarzy i styl książki. Jestem za nie bardzo wdzięczny.

Waldemar Gielzok

Część I

Wyzwolenie

Dzień 17 stycznia 1945 rozpoczął się jak każdy inny.

Gdy się przebudziłam, było jeszcze ciemno, o czym mogłam się przekonać, patrząc przez zaszyronione szyby. Czas letni obowiązywał również zimą, a więc o tej porze naprawdę panował jeszcze mrok, chociaż wszędzie białło. Czy można zatrzymać czas? Niczego nie da się zatrzymać, ani czasu, ani wodospadu, a już na pewno nie radzieckiej ofensywy.

Kiedy ta wojna się skończy? I czy w ogóle się skończy? Nie mogłam sobie wyobrazić, że ktokolwiek zwycięży. Już prędzej całkowitą zagładę: położymy się spać, zamkniemy oczy i już się nie obudzimy... Póki co każdego ranka wychodziłam na syberyjski mróz, aby dotrzeć do szkoły, w której odbywałam służbę.

Czarne niebo pokryte miriadami migoczących gwiazd wisiało nad zimowym krajobrazem i sprawiało wrażenie, że zaraz się na mnie zwali. Śnieg skrzypiał pod butami. Nieustannie mijały mnie samochody wiozące opatulone postacie. Wszyscy zmierzali w kierunku miasteczka, jak gdyby ich diabeł gonił. Budziło to we mnie niepokój i strach. Kolumna wręcz gęstniała w oczach im bardziej zbliżałam się do miasta. W końcu mogłam skrócić w spokojną ulicę. Na przystanku nie było uczniów, którzy zwykle tu czekali. Czy po- ciąg się znowu spóźnił?

Na ostatnim przed przystankiem przejściu dla pieszych dogoniła mnie znajoma. Była roztrzęsiona i z trudem łapała oddech. Z wyraźną ulgą przywitała mnie słowami:

– A więc ty też jednak stawisz się na służbie?

Słowa ugrzęzły mi gardle – żyliśmy w mrocznych czasach. Mia- łałam złe przeczucia.

– Wiesz może, co się dzieje? Wydaje mi się, że front się załamał... Nie wygląda to najlepiej... – To była hiobowa wieść. Zbyt tragiczna, aby móc ją ogarnąć.

– Przez całą noc dobijali się do naszych drzwi jacyś obcy mężczyźni, pewnie partyzanci. W obcym języku domagali się, żeby ich wpuścić...

Partyzanci! Słowo wzbudzające przerażenie! Niczego nie dało się przed nimi uchronić, ani dobytku, ani życia. Często byli to pospolici złodzieje i przestępcy. Większość z nich miała broń. Można było Bogu dziękować, jeśli nie zostało się zmuszonym do poznania ich bliżej. Serce biło mi szybciej, chociaż rano podali w radio, że Rosjanie mieli stać pod Warszawą, a walki toczyły się na łuku środkowej Wisły, jak zrozumiałam, z powodu skrócenia linii frontu i dróg zaopatrzenia...

Ilse kontynuowała:

– ...i nagle o trzeciej nad ranem znów ktoś pukał do drzwi, ale ten mówił po niemiecku. Wpuściliśmy go i zrobiliśmy mu gorącą herbatę i wyobraź sobie... poprosił o ubrania cywilne! Powiedział nam, że wojna jest już i tak przegrana... A on nie chce już brać w niej udziału. Jak się wyraził, to już nie ma sensu... A Rosjanie są już pod Częstochową. – Ciarki mi przeszły po plecach. Mogło to oznaczać... – nawet bałam się pomyśleć – nie, to niemożliwe.

– Całe mnóstwo dezertarów... To może się źle skończyć, jeżeli wszyscy zdradzają ojczyznę – podsumowała Ilse.

Pocieszyłyśmy się magicznym słowem „Wunderwaffe”, iskra nadziei jednak zgasła, gdy weszłyśmy do budynku szkoły.

Widok zakwaterowanych żołnierzy nie był dla nas czymś nowym, w końcu Loben¹ było miastem garnizonowym, ale takie zakwaterowanie wojska nie podobało mi się nic a nic.

– Niech pani tylko popatrzy! – wołał oburzony dyrektor szkoły. – To mają być ci dzielni żołnierze niemieccy! Lazaret polowy? To jest jakiś burdel, burdel... Teraz to jasne, że nie jesteśmy w stanie wygrać tej wojny.

Oniemiałam. Burdel, co za odrażające słowo, rozmyte pojęcie, otchłań deprawacji. W naszej budzie po schodach, na których

1 Loben (niem.) – Lubliniec. Niemiecka nazwa obowiązywała w latach 1941–1945. Wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza.

rozłożono czerwone dywany, przechadzali się mundurowi, ich towarzyszkami były wulgarnie wymalowane kobiety uprawiające najstarszy zawód świata. Czułam się zażenowana, gdy stykałam się z tak bliska z „deprawacją”. Poszła prosto do przytulnego pokoju nauczycielskiego, gdzie zebrało się całe „grono”. W tym miejscu muszę nadmienić, że byłam najmłodsza w tej grupie i tylko zastępowałam innego nauczyciela, wakatów na stanowiskach nauczycieli przedmiotów było coraz więcej i coraz bardziej dawało się to odczuć. Wielu naszych „kolegów” już w ogóle nie przyszło do pracy. Podczas gdy obecni zajmowali nieśmiało miejsca przy stole narad i rozmawiali szeptem, dyrektor został poproszony do telefonu. Odłożywszy słuchawkę, popatrzył na nas skonsternowany.

– Drogie grono nauczycielskie, koledzy, koleżanki! Widzicie, co się dzieje. Słowa są zbędne. Na polecenie kuratora oświaty zwalniam was z obowiązku świadczenia pracy. Proszę iść i robić, co uznacie za słuszne. Do zobaczenia po wojnie! – Osunął się na fotel. Zapadła grobowa cisza.

Koleżanka zebrała się w sobie i przerwała milczenie.

– Jadę do rodziców do Breslau. Breslau nie znajdowało się na terenie plebiscytowym. W Breslau jest bezpiecznie!

Nagle w spokojnym pokoju nauczycielskim zawrzało jak w ulu. Wszyscy zaczęli przekrzykiwać się i wkrótce rozeszli się we wszystkich kierunkach świata. Rozpierzchli się wiedzeni tylko jedną myślą: uciekać, uciekać jak najdalej, jak najprędzej, jak najdalej od „czerwonych”. Ilse i ja pozostałyśmy osłupiałe sam na sam z dyrektorem. Zaprowadził nas do komórki obok sali gimnastycznej i pokazał, w którym miejscu mamy przebić się przez ścianę, aby wyjąć „skarb”, gdy nadejdą już spokojne czasy. Powiedział, że jeszcze wszystko przecież może się zmienić, ale on już tego nie dożyje, dla niego to już była druga wojna i po raz drugi będzie uchodzącą.

– Do zobaczenia po wojnie!

Teraz musiałam jak najszybciej dostać się do rodziców. Nie mieli pojęcia, że Rosjanie są już tak blisko. Ilse i ja puściłyśmy się biegiem ulicami miasteczka. Ona od razu do swoich rodziców, a ja wpięrw do pani Schneider, u której wynajmowałam stancję podczas zimy. U Schneiderów otwarła mi drzwi zapłakana opiekunka do dzieci.

– Proszę wejść, pani Schneider się ucieszy.

Już w korytarzu rzuciło mi się w oczy, że wszystkie szafki były pootwierane, a szafy na wpół opróżnione; szuflady wysunięto, a ich zawartość wysypywała się, ponieważ pakowano się w pośpiechu.

Zgodnie z życzeniem Führera pani Schneider co roku rodziła jedno dziecko. No i teraz musiała wyprawić w drogę sześć dziewczynek. Podobnie jak Ilse i mnie przekonywała, żeby uciec z nią do Berlina. Otworzyła pełną jeszcze szafę i zaoferowała mi ubrania i futra, o których wcześniej nawet bym nie śmiała marzyć. Najpierw jednak chciałam dostać się do rodziców. Byli przecież nieświadomi tego, że armia rosyjska stała już u ich drzwi. Musiałam pożegnać się ze Schneiderami, no chyba że... zdecydowałabym się jednak z nimi pojechać. Pociąg do Berlina odjeżdżał dopiero za dwie godziny. Pomyślałam, że do tego czasu na pewno mi się uda tutaj wrócić, jeżeli zaraz wyjdę. Pani Schneider wyciągnęła w moim kierunku rękę.

– Niech pani zaraz wraca! Ach, moje biedne dzieci, akurat teraz, w ten siarczysty mróz!

Na zewnątrz panował tak siarczysty mróz, że zaraz pożałowałam wyjścia z domu. Musiałam jednak jak najszybciej dostać się do rodziców. Teraz potrzebowałam spokoju i poczucia bezpieczeństwa. Ojciec by wiedział, co należy robić. Nie tracił głowy i nie popadał w panikę, a to ona opanowała mieszkańców miasta. Do domu, byle do domu. Sanie z zaprzęgami konnymi sunęły przez miasto coraz bliżej siebie w niekończącej się kolumnie. Konie parślały, uprzęże pokrywał szron, śnieg wzbijał się w powietrze wzbijany końskimi kopytami. W końcu strumień uchodźców zaczął wysychać. Tylko jeden żołnierz szedł opatulony jak ci wszyscy ludzie w saniach i wymachiwał rękami. Widać było, że miał za sobą długą drogę. Z daleka dostrzegłam dawny posterunek straży celnej, a po chwili wysokie kasztanowce o mieniących się białych gałęziach; jeszcze tylko zakręć w lewo i za chwilę będę w domu.

W poprzek drogi, w którą miałam skręcić, przebiegał głęboki rów zabezpieczony żelazną barierką.

Nie dowierzałam własnym oczom. Czy wzrok mnie nie mylił? Żołnierz w zimowym mundurze maskującym z furią walił karabinem o barierkę, a gdy ten rozpadł na kawałki, wrzucił go do rowu. Następnie ściągnął z siebie kamuflaż wojskowy i zniknął pod mostem. Pojedyncze zaprzęgi sunęły drogą. Nagle żołnierz pojawił się ponownie, by znowu zniknąć, prawdopodobnie w gospodarstwie

naprzeciwno. Tam mógł się podać za pracownika rolnego, ponieważ zatrudnieni w gospodarstwach rolnych byli głównie Polakami.

Jeszcze tylko kilka kroków, te wysokie lipy – już nie szłam, ale biegłam – i drzwi domu otwarły się na oścież, a ja zderzyłam się z jakimś gościem w niemieckim mundurze. Udałam, że nie słyszałam bezczelnej uwagi, i weszłam do naszego pokoju dziennego. Odetchnęłam z ulgą, gdy zobaczyłam mamę. Sprawiała wrażenie bardzo zaskoczonej.

– Mamo, czy wiesz, co się dzieje? Rusczy są już pod Częstochową! Nas zwolnili ze służby aż do końca wojny...

Mama była przerażona.

– Co ty mówisz?

W telegraficznym skrócie opowiedziałam jej o wszystkim, co widziałam i słyszałam; nie wspomniałam tylko o burdelu. Obraz upadku moralnego w czasach zawieruchy wojennej to zbyt wiele jak dla mnie. Dlatego opowiedziałam mamie o lazarecie polowym.

– Mamo...

Głos odmówił mi posłuszeństwa. Mama niemalże zemdląła. Na szczęście przybiegła nasza sąsiadka, ciocia Julia, która widziała, że przyszedłam, i chciała się dowiedzieć, co się mówi w mieście. Powtórzyłam jej to, co już opowiedziałam mamie. Ciocia Julia spojrzała na mnie z wyrzutem:

– Rusczy pod Częstochową? Dzisiaj rano w radio mówili o Warszawie i łuku Wisły... – Nie, ona nie dopuszczała do siebie myśli o Częstochowie.

– No a co z zakwaterowanymi u was w szkole? – dopytała mama.

Dostrzegłyśmy ojca idącego przez podwórze. Ubrany w kozuch i futrzaną czapkę, w filcowych kaloszach na nogach wyglądał, jakby się szykował do podróży. A więc czuł się lepiej. Wcześniej przez dwa lata leżał w łóżku, a rodzina już postawiła na nim krzyżyk. Patrzyłyśmy na niego z wyczekiwaniem. On sam zaś był zaskoczony, że mnie widzi.

– Ojcie – powiedziałam błagalnym tonem. – Ojcie, Rusczy są już pod Częstochową.

Ukrywając zakłopotanie, rzucił:

– Tylko bez paniki! – I zapytał o obiad. Jak się wyraził, na powietrzu poczuł głód. Kazał jeszcze wkręcić hacele do podków, bo przy takiej ślizgawicy trzeba być przygotowanym na wszystko... To wszystko, czego się dowiedzieliśmy, gdy wybiła godzina prze-

znaczenia. Nawet ciocia Julia musiała się tym zadowolić i poszła do domu. Jak ją znałam, i tak miała jeszcze wpaść tego dnia kilka razy. Mieszkała tuż obok, a gospodarstwo domowe prowadziła jej siostra Marianne. Ojciec usunął się do swego pokoiku. Wstęp tam miała tylko mama.

O Boże, Rosjanie, bolszewicy *ante portas*!

Poszłam na podwórze. Nasz okazały powóz został wyprowadzony na zewnątrz, a mój brat coś przy nim majstrował. Może chce założyć płozy, skoro pewnie zaraz ruszamy, pomyślałam.

Po obiedzie znalazłam sobie zajęcie. Mama od dawna chciała kamizelkę zrobioną na drutach. Wełny owczej mieliśmy pod dostatkiem, ponieważ tuż po wybuchu wojny założyliśmy hodowlę owiec. Dwa razy do roku zbieraliśmy znakomite runo, z którego Polacy potrafili zrobić wełnę. Było to również dodatkowe źródło dochodu, w dodatku przy okazji można było zawrzeć przydatne znajomości. Mama pokazała mi piękny wzór, który idealnie nadawał się do wykonania z wełny jagnięcej. Pionowy brązowy wzór, czerwone karo, przeplatane niebieskim karo. Pomysł i materiał był. Włożyłam kilka kłębków wełny do koszyczka, wykroj i jeszcze kilka drutów do robótek ręcznych. Dobry początek na dzisiaj. Później trochę przysiadłam do nowo nabytej lektury: *English Conversation*.

Nie tylko mnie ominęła beczynność. Spokój na zewnątrz i wewnętrzny niepokój wygnały ludzi z domów na ulice, z których wracali do swoich gospodarstw niczym bumerangi. Zdezorientowani biegali w tę i w tę. Wszystkich ogarnęła niepewność, ludzie mieli złe przeczucia i uciekali przed tym, co jeszcze musiało nadejść. Skonsternowani gromadzili się na moście, gdzie przed południem jakiś nieznany żołnierz roztrzaskał swój karabin. Jeszcze nikt nie wierzył w najgorsze. Jeszcze wszyscy karmili się iluzją, nikt nie miał odwagi spojrzeć prawdzie w oczy. Każda kobieta, każda matka miała kogoś bliskiego w wojsku. Wszyscy rozglądali się w napięciu wokół i wyczekiwali nieuchronnego. Dziś mieli czas, bo dziś, 17 stycznia, czas jakby stanął w miejscu. Słyszeć było jednak tykanie zegara...

Niekończący się sznur blaszanych pojazdów wojskowych ciągnął drogą w kierunku Opola. Cała miejscowość dudniła od ryku i warkotu silników. Żelazny strumień zdawał się nie mieć końca... Kobiety stały niczym wrośnięte w ziemię i wypatrywały sobie oczy

w poszukiwaniu ukochanych, którzy od lat kładli swe życie na szali, by walczyć z wrogiem. W zapłakanych oczach można było wyczytać rozpacz, ufność, lęk i iluzje.

Straciliśmy rachubę czasu, nie wiedzieliśmy, jak długa była ta stalowa kolumna. Nie odczuwaliśmy zimna. Widzieliśmy tylko naszych żołnierzy. Niektórzy gestami nas zapraszali... Gdy kolumny pojazdów wojskowych przeredziły się, zaczęły przejeżdżać samochody ciężarowe; w ich kierunku kobiety wyciągały ręce. Nawet najmniejszy gest był w mig rozumiany. Samochody ciężarowe przykryte plandekami zatrzymywały się, by zabrać kogoś, i jechały dalej. Dopiero teraz spostrzegłam liczne kobiety w płaszczach i z walizkami w ręku... Odjeżdżających żegnano machaniem rąk, a z samochodów widać było powiewające chusteczki. Niektórzy mówili coś o dniu sądu ostatecznego... Pewna pani z majątku wyciągnęła w naszym kierunku rękę i krzyczała błagalnym tonem:

– Opamiętajcie się, uciekajcie, ja znam bolszewików... – Coś jeszcze krzyczała, ale samochód już odjechał... Wiedziałyśmy, co miała na myśli, bo pochodziła z Estonii, a jej rodzice zostali tam w bestialski sposób zamordowani.

Świat się zawalił. Mój świat, nasz świat! Ludzie w poszukiwaniu nadziei i ratunku rozpierzchli się i pochowali się w gospodarstwach.

Ja i moja siostrzyczka zabrałyśmy się stamtąd. Martha, sąsiadka, która szła obok mnie, odchodziła od zmysłów. Czterech z jej braci poległo, trzech jeszcze służyło w wojsku. Szlochała, ale nie odezwała się ani słowem... Pobiegłam na strych. Był tam mój nowy rower, piękny, czysty, ale zepsuty. Jak zwykle zaczęłam go rozkręcać. Udało mi się założyć nowe łaćki, okazało się jednak, że to nie była wina dętki. To opona była popękana w kilku miejscach, nie było rady. Taka jakość towarów w czasie wojny. Co miałam robić? Czekać? Na co? Takie czekanie, nadzieja – to wszystko zżerało mnie od środka. Jak miałam zebrać się w sobie i emanować spokojem, którego rodzice ode mnie oczekiwali? Nie urodziłam się bohaterką. Musiałam wyjść na powietrze.

W drzwiach zderzyłam się z ciocią Julią. Wiedziałam, że jeszcze często będzie przychodzić. Tym razem spieszyła się. Nie pytała

o ojca – dopiero co go widziała. Chciała jak najszybciej podzielić się nowiną... Niekończące się kolumny skracające drogi zaopatrzenia kierowały się na Oppeln². Ciocia już wiedziała, że nie da się jechać koleją. Miasto było i jest wprawdzie małe, to w nim jednak krzyżują się szlaki komunikacyjne prowadzące ze wschodu na zachód i z południa na północ. Gdyby przerwano połączenia, unieruchomiony zostałby cały transport. W tym samym czasie, w którym ziemia dudniła od konwoju żelaznych pojazdów, samoloty rosyjskie bombardowały dworzec kolejowy w Loben. Wszystkie połączenia zostały zerwane. Do Opola można było dojechać już tylko przez Teichwalde³. Jeżeli nic się w cudowny sposób nie zmieniło, to, co mówiono o czerwonych, musiało być prawdą. Nasz ojciec chciał nas zostawić na pastwę bolszewików... W tym momencie marzyłam, żeby znaleźć się na księżycu. Ojciec, który zawsze czuł się odpowiedzialny za wszystko, zostawił nas na pastwę losu, zamknął się w swoim pokoiku i nawet nie zadał sobie trudu, aby nas uspokoić. O Boże!

Naśle usłyszałam, że ktoś mnie woła. Była to nasza sąsiadka Anna. Chciała przyjść do nas, ale musiała się opiekować swoimi sędziwymi rodzicami. Straciła trzech braci na froncie wschodnim. Najmłodszy z nich został uznany za zaginionego, tak samo jak jej mąż. Długo rozmawiałyśmy, a ona nieustannie powtarzała, że przecież chłopcy nie mogli polec nadaremnie i nie możemy przegrać wojny. Chciała się dowiedzieć, co ojciec myśli o tym wszystkim i czy już się lepiej czuje, czy przygotowujemy się do ucieczki, skoro powóz stoi na zewnątrz... Nie potrafiłam jej przerwać. W końcu udało mi się wejść Annie w słowo:

– Anna, Ruscy, bolszewiki są już podobno pod Częstochową. W Loben wszyscy szykują się do ucieczki...

Na chwilę zamarła z przerażenia. Następnie krzyknęła w rozpacz:

– Na miłość boską, co pocznę z niedołącznymi rodzicami?

Natychmiast jednak opanowała się.

– Częstochowa to przecież Polska, niech sobie ją biorą, tylko niech nas zostawią w spokoju!

Jedno nas łączyło – nie wierzyłyśmy w to, co się dzieje.

2 Oppeln (niem.) – Opole.

3 Teichwalde (niem.) – Ciasna (wieś).

W domu było ciepło i jasno. Nieśmiało odważyłam się w końcu zapytać mamę, czy w ogóle, a jeśli tak, to kiedy wyjeżdżamy. Uniikała jednoznacznej odpowiedzi.

– Jutro, jak oni opuszczą kwaterę, zrobimy świniobicie...

Mnie to nigdy nie obchodziło. Zawsze mieliśmy co jeść. Nigdy nie musiałam zastanawiać, skąd wszystko mamy.

– Dlaczego dopiero jutro? Czy nie będzie za późno? Trzeba już dziś wszystko przygotować, żebyśmy wielu prowiant na drogę.

– Przez pięć lat mieliśmy gospodarkę wojenną, nakazową. Nie mogliśmy uprawiać tego, co chcieliśmy ani tego, co dotychczas się opłacało i dzięki czemu udało nam się czegoś dorobić. Wiosną szacowano zbiory i wydawano nakaz dostarczenia odpowiedniego kontyngentu. Musieliśmy uprawiać zboże i ziemniaki, które akurat w naszym klimacie nie najlepiej rosną. Tylko co ty o tym w ogóle wiesz? Przecież nie pracowałaś na roli.

– Mamo, ja przecież pomagam... Tylko dlaczego świniobicie dopiero jutro?

– Zapomniałaś, że mamy żołnierzy na kwaterze? Oni są z żandarmerii polowej. Spisali cały inwentarz, nawet policzyli kury... Aha, no właśnie, byliśmy radzi, że ciebie nie było.

– Mnie? Że niby co? Czego chcieli ode mnie?

– Miałas im sprzątać pokoje, szorować podłogi i tak dalej... Nie widziałam w tym nic złego, dziwiło mnie tylko, skąd oni wiedzieli, że mamy jeszcze córkę.

– Wtedy – kontynuowała – doszło do poważnej scysji z ojcem, a jeden z nich wyciągnął nawet pistolet. Dopytywał, czy nie jesteś jakąś księżniczką i czy już nie czekasz na Ruskich...

Ubodło mnie to. Niemieccy żołnierze? Już miałam opowiedzieć mamie o zdarzeniu z dyrektorem i o burdelu, ale na szczęście zdążyłam się powstrzymać. Żandarmeria polowa, no cóż, to nie to samo co Wehrmacht.

Ojciec doskonale wiedział, jaka jest sytuacja. Nie musiał nawet słuchać radia. Obserwował ruchy wojska i pokornie wyczekiwał tego, co miało nadejść. Musiał już pewnie wiedzieć, że wszelkie próby ucieczki były daremne. Rosjanie podeszli jednocześnie pod Warszawę, Częstochowę i Opole! Musiałam teraz wszystko prze-trawić. W swoim zeszytiku odnotowałam wydarzenia dzisiejszego dnia. Następnie kartkowałam *English Conversation*. Chociaż byłam